

VI miejsce

„Dziennik Felicji”

Izabela STAWSKA

W listopadzie kończę 18 lat, chodzę do technikum i jestem na kierunku mechatronicznym. Moją pasją jest tworzenie samo w sobie, kocham tworzyć, nie ważne czy jest to pisanie wszelakich historii, malowanie obrazów czy nawet drobne zmienianie przepisów kulinarnych, ja poprostu chcę tworzyć coś co mogę nazwać moim własnym, być z tego dumna i pokazać światu i by ten uznał to za coś wyjątkowego.

Wzięcie udziału w tym konkursie było spowodowane zarówno chęcią urozmaicenia swoich zdolności i sprawdzenia się ile już potrafię, jak i również sam temat uważam za bardzo interesujący i pozwalający ruszyć wyobraźnię i wzbudzić refleksje.

W końcu temat nowotworów jest tematem na który mało kto z nas chce rozmawiać, a co dopiero myśleć, że może to nas dotknąć lub naszych bliskich. W moim życiu spotkałam się kilka razy z śmiercią bliskiej mi osoby z powodu tej okropnej choroby. Właśnie, tylko się spotkałam z tym, że komuś coś się dzieje, a ja jestem obok. Zawsze zastanawiało mnie to co muszą przechodzić i czuć te osoby oraz fakt, że chciałam "ugryźć" temat z innej nietypowej strony. Powody te sprawiły, że postawiłam na napisanie historii właśnie z perspektywy osoby chorej. Myślę, że mimo, że nigdy nie byłam poważnie chora to jednak informacje jakie zebrałam z różnych filmów, tekstów czy opowieści oraz dzięki wyobraźni, byłam w stanie stworzyć postać która faktycznie mogła, by istnieć i przez takie emocje przechodzić. Pisząc moją pracę czasami miałam wrażenie, że jestem w stanie wcielić się w moją główną bohaterkę, a jej zachowanie prawdopodobnie mogłoby odwzorować, to jak ja bym się zachowywała gdybym się znalazła w takiej sytuacji.

Ponadto poprostu chciałam pokazać, że trzeba żyć pełnią życia, bo nigdy nie wiadomo co nam los przyniesie.

DZIENNIK FELICJI

PROLOG

Był zwykły, niczym niewyróżniający się dzień wiosny. Na zwykłym osiedlu, gdzie panowała cisza i spokój, stały domy jednorodzinne. Takie same i tak samo zwykle z takimi samymi ogródkami i płotami. Ludzie, których można było tam spotkać, zajmowali się pielęgnacją podwórka tak, by ich żywopłoty były idealnie przycięte, co do linii, takie same jak u sąsiada albo spacerowali z psami z zadartymi wysoko nosami i z dziećmi, które zadziwiająco tak samo szły jak ich rodzice, nie biegały i nie pytały się co chwilę co to za roślina czy robak, jak na dzieci przystało, szli oni przed siebie tylko po to, by iść i odhaczyć jeden z punktów dnia, który był monotonnie zaplanowany jak wszystkie inne. Jednakże pośrodku tego zwykłego i nudnego miejsca stał budynek wyróżniający się na tle innych, gdzie ludzie przechodzący obok niego zaczynali coś szeptać do siebie albo wymieniać wymowne spojrzenia - jedni z zachwytem i błyskiem w oczach, drudzy zaś z pogardą i wyglądający, jakby mieli splunąć na ten dom za odważenie się zakłócenia porządku, jaki panował na tym osiedlu. Dom ten sam w sobie był normalny, ale na tle białych domów ciągnących się wokół wyglądał jak najpiękniejszy i najbardziej kolorowy motyl na zwykłej, szarej ścianie. Mury tej budowli były żółte a miejscami ciemnozielone od bluszczu rosnącego i pięknie oplatającego każdy z filarów, balkon i ścianę od południowej strony. Podwórko natomiast nie posiadało równo przyciętych krzewów, tylko coś na wzór łąki kwietnej, nad którą latały pszczoły i piękne motyle odwzorowujące urok tego miejsca. Dom ten należy do pewnego malarza, który szczyci się byciem innym, nie poddającym się modzie, która przemija. Człowiek ten żyje w zgodzie z sobą i wyraża siebie na swój sposób i się tego nie boi. Wchodząc do środka, idąc po schodach na sam strych, spotkać można mężczyznę na oko pięćdziesięcioletniego, układającego pudła i przekładającego rzeczy z jednej na drugą stronę. Zaglądał tu i ówdzie kichając co jakiś czas od kurzu, aż nagle cały znieruchomiał, a po jego twarzy przemknął strach. Patrzył na mały czarny dziennik dotknięty przez czas, ale nadal w dobrym stanie. Mężczyzna wziął go do ręki i usiadł obok niedużego okienka.

- Więc tutaj byłeś cały ten czas, mówiłem, żeby go wyrzuciła, ale tego nie zrobiła - westchnął z uśmiechem na twarzy i nostalgią w oczach - ile to już lat? 30? Czy po takim czasie nadal jest mi dane, żebym go przeczytał, mimo że się go wyparłem i chciałem pozbyć, chociaż to była ostatnia rzecz od ciebie? - spojrzał za okno wyglądając, jakby oczekiwał odpowiedzi.

Nagle zza chmur jak na zawołanie wyłoniło się słońce świecąc prosto w szyby i rozświetliło pomieszczenie jeszcze bardziej.

-Rozumiem, że to znaczy tak- zaśmiał się, jakby właśnie tego oczekiwał. - Jakie to jest głupie, że musiało minąć tyle czasu, bym był w stanie przeczytać to- rozsiadł się wygodniej i otworzył dziennik.

Pierwsza strona była w różnych malowidłach. Na drugiej zaś widniał napis:

“Dziennik Felicji”

3 Lutego 2020 r.

Nazywam się Felicja Stelmach i mam 18 lat.

8 grudnia byłam na nartach i miałam wypadek, doznałam urazu głowy. Mama zaczęła panikować, że coś mi się stało, bo za niecałe 2 miesiące mam zawody i muszę być w pełni zdrowa. Owszem, też powinnam się jakoś przejąć, w końcu zależy mi na boksie, ale czułam się dobrze, więc nie bardzo się przejmowałam. Pojechaliśmy do szpitala, a tam zrobili mi podstawowe badania i prześwietlenie. Lekarze powiedzieli, że wszystko jest w porządku, ale coś zauważyli w moim mózgu. Nie byli pewni wtedy, więc polecili, by zbadać to dokładniej. Szczerze, mnie to mało obchodziło, bo w końcu dobrze się czułam i raczej byłam nastawiona, że nic mi nie jest, a lekarze dramatyzują i chcą po prostu pieniędzy za badania, ale mama mnie bardzo prosiła, więc zgodziłam się, bo w końcu to zwykłe badanie.

13 grudnia pojechaliśmy na kolejne prześwietlenie i zrobiliśmy szczegółowe badania, tyle szczęścia, że wynik gotowy był w tym samym dniu. Poszliśmy więc do gabinetu po wyniki. Mama i ja zajęłyśmy miejsce na fotelach przy biurku, a naprzeciwko był lekarz.

- I jakie są wyniki, panie doktorze?- zaczęła moja mama, ja siedziałam cicho i byłam jakby nieobecna, bo moje myśli krążyły wokół treningu, na który miałam iść zaraz po tym, jak stąd wyjdę.
- Mam złe i dobre wiadomości, ale zacznę od tych złych- lekarz z bujnym wąsem i brodą popatrzył się na mnie i nabral powietrza do płuc -Pani Felicjo, ma pani zmiany nowotworowe w postaci guza w płacie czołowym.

Myślałam, że w tamtym momencie ktoś mi przyłożył z całej siły w policzek tak, że aż się wzdrygnęłam. Moja mama osunęła się na fotelu i pobladła, była tego samego koloru, co ściana pomieszczenia.

- Nowotwór? Rak i moja córeczka? - mówiła z łamiącym się głosem pełnym niepewności.

Ja nadal siedziałam jak wryta próbując poskładać myśli.

- Przykro mi. Jednak mam też dobrą wiadomość, jeszcze nie jest za późno na wdrożenie leczenia - kontynuował mężczyzna
- Znakomicie, czyli jeszcze nie umieram - przerwałam mu wstając gwałtownie, zebrałam swoje rzeczy i wyszłam z gabinetu - Do widzenia - dorzuciłam przechodząc przez drzwi.

Tak w zasadzie to nawet nie mam pojęcia, dlaczego tak zareagowałam, chyba jeszcze wtedy nie dotarło to do mnie.

Wychodząc z kliniki poszłam prosto na trening i zbytnio nie myślałam o tym. Skupiłam się na tylko na ćwiczeniu. W międzyczasie napisałam mamie, że zostaje na noc u Marcela, mojego chłopaka, i żeby się nie martwiła o mnie, i że przepraszam za wyjście w ten sposób, ale nie potrafię tego wytłumaczyć i że muszę myśli pozbierać.

Po udanym treningu, tak jak zamierzałam, znalazłam się u Marcela. Jestem z nim już od ponad 3 lat, więc do jego domu wchodzę jak do siebie i witam się z jego mamą, jak z tą fajną ciocią.

Weszłam do jego pokoju po cichu i od razu do mojego nosa dostał się zapach farb, grała muzyka z lat 80, która wspólnie uwielbialiśmy, a właściciel pokoju siedział tyłem do wejścia skupiony na malowaniu po płótnie i nie zauważył mojego wejścia. Podeszłam do niego jak ninja i już miałam ręce na wysokości jego boczków.

- Ani się waż, Felicjo - powiedział z mrozącą krew powagą.
- Bo co? - powiedziałam zadziornie i wbiłam mu palce pod żebra.
- Bo ci domaluje parę fałdek na twoim obrazie - odpowiedział wystrzeliwując z fotela i rzucił się na mnie, powalając mnie na łóżko, bezlitośnie łaskocząc.

Śmiałam się i krzyczałam, czułam się wspaniale w jego objęciach. Bardzo go kocham.

Pocałował mnie czule i usiedliśmy na łóżku.

- I co powiedział lekarz? - powiedział to z taką wielką troską, że nie wiedziałam, co mam mu powiedzieć.

Tak naprawdę to przez głowę mi przeszło, żeby w ogóle mu nie mówić, ale chyba nie byłabym w stanie tego ukrywać.

- Mam jakiegoś guza w mózgu - zaczęłam nie pewnie - ale lekarz mówił, że da się to wyleczyć - to już powiedziałam energicznie

Marcel pobjął i chwycił mnie za dłonie. Milczał.

- Kiedy masz kolejne badania?
- Nie wiem, tak w zasadzie to od razu po tym, jak się dowiedziałam, że nie umieram to wyszłam.
- Kochanie - zaczął z zawodem w głosie - nie powinnaś była tego robić, tu chodzi o twoje zdrowie.
- Wiem wiem, ale naprawdę nie potrafię tego wytłumaczyć. Chyba po prostu nie potrafię dopuścić do siebie myśli, że coś dosłownie siedzi mi w głowie i zagraża mojemu życiu. - wtedy uświadomiłam sobie, że oczy stają mi się dziwnie mokre, a po policzku spływa łza.
- Będzie dobrze, kochanie - przytulił mnie czule do piersi - będzie dobrze - powtarzał coraz ciszej, a jego głos kołował moje myśli.

14 grudnia. Gdy nadszedł moment konfrontacji z moimi rodzicami, w mojej głowie brzmiało to jedno słowo: "uciekaj". Bałam się tego, co powie mama, to, czego się dowiedziała po moim wyjściu.

- Córeczko, musimy porozmawiać - moja mama wyglądała, jakby pół nocy przeplakała.

Zawsze taka była, bardzo wrażliwa na świat i ludzi. Jak jakaś dobra postać umiera w filmie lub coś podobnego, to pierwsza się rozklei.

- Usiądź z nami - wtrącił mój tata wskazując na kanapę i fotele.

On w porównaniu do mamy zawsze zachowuje zimną krew i nie pozwala emocjom i impulsom rządzić jego decyzjami, jednak to czasami prowadzi do tego że nie potrafi wczuć się w uczucia innych. Nie wiem, jak ta dwójka się dobrała, ale idealnie się uzupełniają.

Usiadłam na fotelu, a moi rodzice naprzeciwko mnie na kanapie.

- Pan doktor mi powiedział, że jest to zwykły i póki co nie groźny guz, ale zaleca częstsze kontrole i ewentualne wdrożenie leczenia - mówiła to z dziwnym spokojem lub nawet ulgą.
- To dobrze, a co z moim turniejem ?
- Lekarz powiedział, że o ile nie będziesz nadmiernie się przemęczać, to możesz wziąć udział.

Bardzo się wtedy ucieszyłam i odetchnęłam z ulgą. W końcu zawody już niedługo, więc mogłam się skupić tylko na nich.

17 luty. Do tej pory nic nie wydarzyło się szczególnego, poza moją osiemnastką 20 grudnia, natomiast jeśli chodzi o moja chorobę, to jedynie czułam się trochę słaba i często mnie głowa bolała.

Miałam zaplanowane badania kontrolne, takie ostatnie przed turniejem, który odbywa się za tydzień. I mimo że mogłam iść sama, bo byłam już pełnoletnia, to mama uparła się, by iść ze mną, bardzo się martwi o mnie, rozumiem to i doceniam, ale czasami przesadza.

Wchodząc do gabinetu po tych wszystkich prześwietleniach i badaniach nie czułam nic szczególnego, do momentu aż nie zobaczyłam ponurej miny mężczyzny w białym uniformie mówiącej, że nie ma dobrych wieści. Tak też było.

- Nie będę owijał w bawełnę, pani Felicjo. Guz, który ma pani w mózgu, zaczął się rozrastać - zaczął lekarz poważnym tonem.

Zarówno mama jak i ja patrzyłyśmy na niego wzrokiem błagającym, by powiedział, że to nieprawda, jednak tak się nie stało. Chciałam uciec stamtąd jak poprzednim razem, ale zmusiłam się zostać, przyjąc to na klatę. W zamian za to cała wizytę milczałam.

Gdy wróciłyśmy do domu, mama rozplakała się i opowiedziała wszystko tacie, ja nadal milczałam, w mojej głowie panowała pustka, gapiłam się w ścianę, dopóki ktoś nie zaczął do mnie mówić.

- Felicjo, nie weźmiesz udziału w zawodach, tak będzie lepiej dla twojego zdrowia - powiedziała moja mam przez łzy.

W tamtym momencie poczułam się, jakby cały mój świat się zawalił. JA miałabym nie wziąć udziału w ogólnopolskich zawodach bokserskich? jeśli zdobędę złoto, będę w pierwszej kolejności brana pod uwagę w naborze do zawodów ogólnoswiatowych. JA od dzieciaka marząca o byciu mistrzynią świata, miałabym zrezygnować z marzeń, bo coś mi zaczęło rosnąć w głowie?

Czułam, jak kręci mi się w głowie.

- Nie ma opcji, wezmę udział czy wam się to podoba czy nie.
- Felicjo, zrozum, że musisz jak najszybciej podjąć leczenie. tu chodzi o twoje życie -
- Owszem podejmę się leczenia ale NIGDY nie zrezygnuję z treningów i marzeń - w tym momencie już krzyczałam z łzami w oczach. - A jak mam umrzeć to i tak umrę, przynajmniej będę spełniona.

Wtedy nastąpiła kompletna cisza, nie wiem, kto był bardziej zszokowany moimi słowami: ja czy rodzice, którzy patrzyli się na mnie z niedowierzaniem. Nie pamiętam za bardzo, co wtedy zrobiłam, ale wzięłam moje rzeczy na siłownię i wybiegłam z domu. Chciałam nie

myśleć o niczym, wyłączyć się, wyrzucić emocje, które skumulowały się w moim ciele i próbowały wyjść. Zawsze, gdy byłam w podobnej sytuacji, gdy byłam zła lub smutna i chciałam, się tego wyzbyć, szłam prosto na trening. Pomagało, bo skupiłam się wtedy tylko na tym.

24 luty. Dzień zawodów. Udało mi się porozmawiać z moimi rodzicami i przekonać ich, że nie zrezygnuję z boksu. Na szczęście zgodzili się, ale mama dała mi warunek. Miałam po zawodach podjąć się leczenia i iść na terapię lub chociaż raz porozmawiać z psychologiem. Jestem bardzo wdzięczna moim rodzicom, bo domyślałam się, jak ciężkie to jest też dla nich. Przez ostatni tydzień prawie tylko trenowałam i za wszelką cenę nie dopuszczałam do siebie myśli o moim stanie. Miałam tylko jeden cel - wygrać i nic w tym nie mogło mi przeszkodzić. Jedynie gryzło mnie sumienie, że nie powiedziałam o tym Marcelowi, nie chciałam, żeby się martwił, bo pewnie zacząłby panikować, a ja naprawdę nie miałam czasu na tłumaczenie się. Chciałam mu powiedzieć po tym, jak już wygram.

Siedziałam w szatni zawijając bandaż na nadgarstkach. Nie czułam się jakoś specjalnie inaczej, tylko to uczucie adrenaliny, które towarzyszyło mi przy każdym zawodach. Miałam jeszcze trochę czasu, więc poprawiałam się przed lustrem i wtedy coś się stało. Zdałam sobie sprawę, że moja twarz straciła kolor, była bledsza niż zazwyczaj i wyglądała na zmęczoną, a przeczesując włosy szczotką zauważyłam, że wypadło mi ich znacznie więcej, niż kiedykolwiek.

Moją głowę zalał strach. Ja umrę? Czekaj, co? Umrzeć? Ja mam umrzeć? Ta choroba faktycznie mnie zabije? - takie myśli zaczęły wirować we mnie. Usiadłam, bo czułam, że zaraz padnę. Zaraz miałam wychodzić na ring, a ja siedzę w pustej szatni nie mogąc złapać oddechu. Dlaczego teraz o tym myślę? Muszę wziąć się w garść, muszę skupić się na walce. Tkwiłam w bezruchu, aż ktoś mnie chwycił za ramię.

-Felicjo! musisz wychodzić, twoja kolej- powiedział czyjś męski stanowczy głos. To był mój trener. Nie odpowiedziałam mu, nawet nie spojrzałam mu w oczy. Tylko szłam przed siebie. Blask lamp był dużo silniejszy niż w ten w szatni, przez co minęła chwila, zanim złapałam ostrość w oczach. Na sali rozbrzmiewał tłum, byłam całkiem popularna dla środowiska bokserkiego, byłam w topce polskich bokserek.

To moje ostatnie zawody. Taka myśl przeleciała mi przez głowę, a wtedy moje ciało ogarnęła wściekłość. Co to za sprawiedliwość, przez jakiegoś głupiego guza w mózgu stracę możliwość spełniania marzeń, tyle już osiągnęłam i ma to zniknąć? Dlaczego mnie to spotyka? Muszę wygrać, jak wygram to będę żyć. Wtedy pierwszy raz doświadczyłam takiej niezrozumiałej wściekłości i nie bardzo byłam w stanie panować nad ciałem, wtedy jedyną rzeczą w głowie, o której myślałam była wygrana, wygrana, dzięki której przeżyje.

Wchodząc na ring cały świat wokół mnie zniknął, moja przeciwniczka w pewnym sensie też, mój mózg przekreował ją w sposób taki, że widziałam ją jako moją chorobę, która muszę zwalczyć. Nie pamiętam za wiele z tej walki, tylko tyle, że była najbardziej brutalna z wszystkich, które stoczyłam. Ciosy wyprowadzałam bez opamiętania, adrenalina, która mnie napędzała, dawała mi siłę taką, że wystarczyła kilka uderzeń, by moja przeciwniczka padła i chyba pomimo tego, że już leżała to chciałam dalej ją atakować, ale ktoś mnie powstrzymał. Po tym nie pamiętam już nic.

Obudziłam się w szpitalu parę godzin później. Byli ze mną moi rodzice i Marcel. Na półce obok stał złoty puchar, świadczący, że wygrałam. I miejsce. Chciałam się cieszyć, ale nie potrafiłam. Czułam, że tak w zasadzie, to nie ja wygrałam, tylko coś, co wywołało u mnie nienaturalne uczucie gniewu.

Dowiedziałam się też, że walczyłam jak opętana i faktycznie na koniec, mimo że już wygrałam, dosiadłam tamtą dziewczynę i chciałam ją atakować, ale wtedy mój trener mnie powstrzymał i ściągnął. Wtedy zemdlałam. Sędzia uznał moją walkę za wygraną, bo technicznie wszystko było dobrze, owszem mało etycznie się zachowałam pod koniec, ale to nie skreślało mnie.

W szpitalu spędziłam parę dni, wtedy też powiedziałam mojemu chłopakowi o moim stanie i go przepraszałam, próbując znaleźć wytłumaczenie.

- Rozumiem cię, nie musisz się tłumaczyć, chociaż mogłaś powiedzieć.

Fakt, że powiedział to tak łagodnie i z wyrozumiałością, wywołał u mnie płacz.

- Chodź się przytul, razem przejdziemy twoje leczenie i będzie wszystko dobrze, i zawsze będę cię wspierał oraz chcę doczekać w momencie, aż z dumą będę wszystkim mówił, że moja dziewczyna to pieprzona mistrzyni świata w boksie, więc niech każdy uważa, bo może skończyć bez zębów - zaśmiał się pod koniec.

Wtuliłam się w niego czując się bezpiecznie, dał mi jakiś rodzaj nadziei i wiary w siebie.

3 marca. Wyszłam ze szpitala i tak jak obiecałam mamie, poszłam na wizytę u psychologa. Początkowo byłam sceptycznie nastawiona, ale o dziwo opowiedzenie moich doświadczeń obcej osobie, która nie ocenia tylko słucha i tłumaczy, skąd się biorą we mnie takie emocje, była bardzo pomocna i uspokajająca.

- Myślałam, że zwariowałam wtedy na zawodach - powiedziałam zmartwiona.
- To naturalny proces przy uświadamianiu sobie swojej sytuacji, w twoim przypadku faktu, że w twojej głowie rozwija się guz - pani psycholog odpowiadała zawsze tym samym spokojnym i można rzec "mądrym" głosem - każdy reaguje inaczej, ale mniej więcej zawsze występuje pewien schemat, który zachodzi po dowiedzeniu się o śmiertelnej chorobie. Wyparcie. Zwątpienie. Rezygnacja. Akceptacja. - słuchałam jej bardzo uważnie i uświadamiałam sobie, że ma rację. - Mam dla ciebie propozycję, byś pisała dziennik lub pamiętnik, w którym będziesz spisywała swoje odczucia i przeżycia podczas choroby. Wielu moim klientom pomaga, dlatego ty też spróbuj.

W taki oto sposób zaczęłam prowadzić mój dziennik, nadal opornie mi się pisze, bo nigdy tego nie lubiłam, ale im więcej notuję, tym większą mi to frajdę sprawia oraz faktycznie pomaga ułożyć myśli. Napiszę to dla siebie lub dla potomnych. Może kogoś kiedyś to zainspiruje.

18 Marca 2020 r.

Myślałam ostatnio trochę o tym, co wydarzyło się na turnieju i do tej pory nie potrafię tego zrozumieć. Obecnie nie czuję się zła ani nic takiego, chyba jestem obojętna, ale w sumie trochę się boję za każdym razem jak lekarze mają zrobić mi badania.

Gdy tylko czuję się na siłach, staram się trenować i spotykać z Marcellem. Nie chcę, żeby moja choroba zajmowała mi mój dzień zwłaszcza, że lekarze mówią, że jest na razie stabilnie i póki co nie muszę się jakoś martwić na zapas.

Martwi mnie tylko, że stan moich włosów i cery pogorszył się i nie czuje się już takie piękne jak kiedyś, chociaż Marcel za każdym razem mówi, że wyglądam tak samo pięknie. Nie wiem, czy tak jest, ale dodaje mi to jakiejś otuchy.

4 Kwietnia 2020 r.

Nie jest dobrze. Jest wręcz fatalnie. Przez ostatni czas wozłam się po lekarzach, bo okazało się, że mój stan się pogarsza. Gdy tylko o tym pomyślę ściska mnie w żołądku i robi niedobrze. Przecież miało być tak pięknie. Nie wiem, co robić, jeszcze jakiś czas temu nie czułam się z tym inaczej, a teraz? Znowu czuję się jakby wszystkie emocje z turnieju miały wrócić. Z tego powodu spędzam całe dni na waleniu w worek albo bieganiu na tyle, ile mi ciało pozwoli, bo zauważam to, jak się pogarsza moja kondycja, tak jakby z dnia na dzień. Z tego też powodu przepłakiwałam całe dni, bo czułam, jak moje marzenia ode mnie uciekają. Nie chcę być chora, chcę być zdrowa, dlaczego mnie to spotyka...

Mama tak samo płacze całymi dniami bojąc się, co będzie dalej. Marcel podobnie, jakby stracił wenę i spędza każdą wolną chwilę ze mną równie przygnębiony, choć bardzo się stara mnie rozweselać i pomóc. Pomaga mi bardzo. A lekarze chyba tylko potrafią mówić, że jest coraz to gorzej...

Poza tym rodzice chcą mnie zabrać do dziadków na wieś, bym odpoczęła parę dni w kontakcie z naturą. Uwielbiam to miejsce, więc mam nadzieję że mi pomoże odgonić wszystkie złe myśli i faktycznie odetchnąć.

24 Kwietnia 2020 r.

Przyjechałam dzisiaj do dziadków, bardzo się cieszę, ponieważ spędziłam tu dużą część dzieciństwa i uwielbiam tu wracać po takim czasie, również super faktem jest to, że mogłam zabrać Marcela. Przy jednym z obiadów powiedzieliśmy moim dziadków o mojej chorobie.

- Babciu, dziadku, muszę wam coś powiedzieć- zaczęłam niepewnie, nie chciałam ich martwić, zważając na ich wiek i to, że nie powinni się denerwować.
- Dziecko będziecie mieli ? - mój dziadek przerwał mi śmiejąc się okropnie, a moja babcia zdzieliła go w bok, karcąc wzrokiem.
- Nie przesadzaj Rysiek, jeszcze za młoda jest.
- Nie dziadku, nie będziemy mieli dziecka, jest to raczej niezbyt pozytywną nowina - kontynuowałam
- Jestem chora, mam guza mózgu i lekarze nie wróżą nic dobrego, ale starają się, ile mogą i jak narazie jest stabilnie.

Wszyscy zamilkli. Moi dziadkowie popatrzyli się na moich rodziców, później na mnie i znowu na rodziców, by upewnić się, że to nie jest dowcip.

- Rozumiem moja kruszynko, bardzo mi przykro z tego powodu, ale nie martw się, dam ci moich syropków i przepędzimy to choróbsko.

Mój dziadek chciał poprawić napięta atmosferę, co nawet mu się udało. Dokończyliśmy posiłek i spędziliśmy resztę dnia na rozmowach i spacerach po pięknej okolicy.

2 Maja 2020 r.

Zdarzył się wypadek. Trafiłam do szpitala po tym, jak zasłabłam na jednym ze spacerów z Marceliem. Wszyscy byli tak przerażeni, że tata od razu zawiózł mnie do szpitala, nie czekając na karetkę (bo tutaj często jedzie ona bardzo długo). Byłam nieprzytomna przez kilka dni. Zaraz po tym jak się przebudziłam, dostałam okropną wiadomość. Moja choroba postępuje bardzo szybko i trzeba wdrożyć już od zaraz drastyczne formy leczenia. Nie wiem co mam o tym myśleć, znowu czuje tą dziwną pustkę i brak świadomości mojej sytuacji.

16 Maja 2020 r.

Dzisiaj wyszłam z szpitala. Czuje się bardzo źle i to nawet nie przez samą chorobę, ale przez fakt, że nie będę mogła ćwiczyć do końca chemioterapii. Przeplakałam ostatnie dwa tygodnie i chyba następne dwa będą takie same, nie wiem co mam robić, nie chce zaczynać chemii, nazytałam się tyle o tym, że to wcale nie pomaga i nie wiadomo co. Boje się, bardzo się boję. Boli mnie też to, że nie potrafię korzystać z wsparcia, które mi daje Marcel, rodzina i przyjaciele, którym też niedawno powiedziałam. Nawet mój trener powiedział, że jak tylko wyzdrowieję, to będę ćwiczyć za trzech i zdobędę tytuł mistrza. Mam nadzieję, że będzie dobrze.

2 Czerwca 2020 r.

Dzisiaj przyjechałam do szpitala, planowo spędzę tu następny miesiąc, trochę słabo. Gdy już po południu moi rodzice musieli wyjść, zostałam sama w pokoju i szczerze strach mnie obleciał. Białe ściany szpitalnego pokoju były okropne, budziły we mnie niepokój. Przyniosłam parę swoich rzeczy takich jak pluszaki, książki, laptopa i trochę słodkości, by umilić sobie pobyt tutaj, ale nie wiem czy to zapewni mi komfort.

Gdy zaczęłam się nudzić stwierdziłam, że przejdę się po oddziale, skoro jeszcze nie jest tak późno. Idąc tak trafiłam do świetlicy, jej wyposażenie było skromne, ale wystarczające: kanapa z małym telewizorem, kilkoma regałami z książkami oraz stolikami. Zauważyłam tam dziewczynę, siedziała sama na kanapie z głową schowana w rękach i kolanach. Coś mnie wtedy ruszyło, więc podeszłam do niej.

- Hej, wszystko w porządku? Czegoś ci trzeba?

Dziewczyna ociężałe podniosła głowę, na jej twarzy zauważyłam rumieniec i czerwone oczy jak po płaczu. Spojrzała na mnie ocierając policzek.

- Tak, tak. Po prostu tak sobie odpoczywam tutaj - odpowiedziała trochę zachrypniętym głosem
- Mogę się przysiąść?
- Tak, jasne ...

Nie chciałam być nachalna, ale coś mi mówiło, że ona nie chciała być sama.

- Chcesz wiedzieć dlaczego płaczę?
- Jeśli to nie problem.
- Moja mama jest chora i nie wiadomo, czy przeżyje operację. Bardzo się tego boję. Nie chcę, żeby moja mama umarła.
- Nie wiem, co mam ci powiedzieć, będzie dobrze.
- Nie musisz nic mówić, sama nawet nie wiem, czego chcę... A ty? czemu tu jesteś?
- Mam guza mózgu i właśnie zaczęłam chemioterapię.
- Och.
Wyras smutku na jej twarzy zmienił się w zakłopotanie
- I jak się czujesz?
- Cóż, bardzo się boję, mimo że lekarze mówią, że będzie okej, to chyba im nie wierzę tak na sto procent.
- Rozumiem, a tak swoją drogą, jestem Ania - podała mi rękę z łagodnym uśmiechem
- Felicja - uścisnęłam jej dłoń.

Tak poznałam Anię. Rozmawiałyśmy bardzo długo i wymieniałymy się swoimi spostrzeżeniami na temat raka i obie uznałyśmy, że jest to niesprawiedliwe.

- Wiesz, obecnie jestem w liceum językowym, ale po tym, jak moja mama zachorowała, uznałam, że chcę zająć się medycyną i pomóc ludziom znaleźć sposób na wyleczenie raka, tak by jak najmniej osób traciło przez tę chorobę bliskich lub swoje własne życie.
- W takim razie, życzę ci powodzenia, Anno.

27 Czerwca 2020 r.

Wczoraj był tej dzień, w którym musiałam ściąć włosy. Bardzo chciałam tego uniknąć, ale moje włosy można było policzyć i wyglądało to nieładnie. Na początek broniłam się rękami i nogami, ale w końcu, po przemyśleniu tego, zgodziłam się.

Gdy nadszedł ten moment, siedziałam przed lustrem, a za mną Marcel.

- Gotowa ?- Zapytał patrząc z smutkiem w oczach.
- Nie i nigdy nie będę, ale rób co musisz- odpowiedziałam oschlej niż się spodziewałam.

Włączył maszynkę i przejechał od czubka głowy do tyłu i powtórzył czynność parę centymetrów obok. Czułam, jak pasma włosów spadają po moich ramionach, a wraz z nimi z oczu ciekły mi łzy. Nigdy nie miałam włosów modelki, lśniących, długich i pięknych, ale miałam je ładne, były jednym z moich atrybutów kobiecości, który właśnie jest mi odbierany. Gdy tak patrzyłam na siebie w lustrze, nagle Marcel przejechał po swojej głowie maszynką, byłam bardzo zaskoczona.

- Co ty robisz ?
- Słyszałam, że taka fryzura to ostatnio nowy krzyk mody, więc sam spróbuję - zaśmiał się.

Zaśmiałam się bardzo cała w łzach. Tak bardzo chciał mnie pocieszyć i być ze mną w tych trudnych chwilach, cieszy mnie to bardzo.

Pomogłam mu dokończyć, co zaczął.

Wieczorem jednak, gdy zostałam sama, znowu dopadła mnie fala wściekłości i żalu do całego świata, a myśl, że istnieje cień szansy, że tego nie przeżyję, ironicznie zabijała mnie w środku wykręcając flaki i ściskając gardło. By dać upust emocjom robiłam pompki na tyle, ile ciało było w stanie mi pozwolić lub uderzałam w ścianę, niekiedy aż do krwi. Bardzo mi przeszkadzały te napady skrajnych emocji. Co prawda dostawałam leki na uspokojenie, ale miałam wrażenie, że nie pomagają.

2 Lipca 2020 r.

Lekarze mi powiedzieli, że chemia działa niekoniecznie tak, jakby chcieli. Nie wiem, co mam myśleć o tym.

Dzisiaj na oddziale poznałam pewną kobietę, około 50 lat, zagadała mnie w pokoju integracyjnym, gdy przebierałam książki i szukałam czegoś ciekawego.

- Co taka młoda dziewczyna tutaj robi ? -

Początkowo nie byłam pewna, czy mówi do mnie, chociaż w pokoju byłam tylko ja, jacyś dwaj dziadkowie i sprzątaczką myjąca okna, ale tylko ja pasowałam do opisu młodej dziewczyny.

- Cóż, co mam powiedzieć. Tak wyszło - odpowiedziałam z lekkim zakłopotaniem.
- Przycupnij tu sobie ptaszyno, pogadaj ze mną, starszą kobietą przez chwilę - wskazała na krzesło obok - Widzisz. mam dość rozmów tylko z pielęgniarkami albo współlokatorką, taka jędba z niej, dwa razy zabrała mi moje jabłka i książkę.
-Nie chcę być wścibska, ale co z pani rodziną? Nikt pani nie odwiedza ?
- W zasadzie to nie. Tylko moja córka przynosi mi co jakiś czas jakieś drobne rzeczy, ale stara się to robić, jak jestem na badaniach albo zostawia na recepcji.
- Oh, to przykre. Mogę zapytać. czemu tak jest? -
- Chyba po prostu zawiodłam jako matka, wydarzyło się wiele rzeczy, ale znalazłam sposób, by się nie poddawać i walczyć o córkę i mam nadzieję, że pewnego dnia mi wybaczy
- A co pani pomogło nie poddawać się ? -
- Wiara, modlitwa i Bóg

Po tej rozmowie długo rozmyślałam i zastanawiałam nad sobą. Niby pochodzę z chrześcijańskiej rodziny, ale niepraktykującej. Nigdy się nie zastanawiałam nad istnieniem Boga i wierzeniu w życie po śmierci. Z drugiej strony, jeśli faktycznie to by była prawda, to czy na mnie już jest za późno, skoro nie modlę się? Albo z trzeciej strony, może właśnie to jest moja kara za to? Albo z czwartej, że jeśli zacznę się modlić, magicznie wyzdrowieję? Tak intensywnie myślałam o tym, że aż rozboleła mnie głowa i musiałam wyjść na spacer się przewietrzyć i wyciszyć.

Tego samego wieczoru wypowiedziałam się w szpitalnej kaplicy, a w pokoju zmówiłam modlitwę, nie jestem pewna z jakich pobudek to wszystko zrobiłam, ale czułam, że dobrze robię.

30 Lipca 2020 r.

Mama Ani umarła na początku lipca. Byliśmy na pogrzebie. Krótko mówiąc zaraz po tym załamalam się, po tym, jak widziałam pogrążona w żalu rodzinę mamy Ani oraz sama Anię. Bardzo mnie to dobiło. Uświadomiłam sobie, że jeśli lekarzom się nie uda, a chemioterapia nic nie da, to i ja umrę i cała moja rodzina przyjaciele i Marcel stracą mnie. Myśląc o tym popadłam w głęboką depresję i przez ostatni miesiąc leżałam w łóżku będąc nieobecna. Cały czas myślałam o tym, co będzie. Czułam tylko żal i strach, że tak właśnie jest. Fakt, że dowiedziałam się, że będzie potrzebna operacja, w której spróbują wyciąć tego guza sprawiła, że pogrążyłam się jeszcze bardziej. Bardzo długo płakałam po tym.

7 Września 2020 r.

Coraz więcej dni spędzam na spaniu i łapaniu się na bezmyślnym gapieniu się w ścianę. Poznałam datę operacji. Wszyscy wokół bardzo się martwią o mnie i tak samo jak ja boją się, co z tego wyjdzie. Dzisiaj jednak odwiedził mnie Marcel, a z racji że miałam bardzo dużo czasu, to też dużo myślałam o nim o tym, co będzie, gdyby mnie zabrakło.

- Obiecuj mi coś- zaczęłam stanowczo, a Marcel nagle przestał układać kwiaty w wazonie
- Tak ?
- Obiecuj mi, że będziesz żyć tak, jak ci serce podpowiada i nie będziesz bać się wyrażać siebie i iść po swoje. Spełniaj swe marzenia i nie patrz wstecz.

Moje słowa wyraźnie zdziwiły i zakłopotwały go w pewien sposób, ale kontynuowałam:

- I jeśli mnie zabraknie, nie zatrzymuj się, żyj dalej i pamiętaj o mnie jak o swoim rozdziale w życiu, który trzeba kiedyś skończyć, by móc zacząć następny.

Marcel wtulił się we mnie z łzami w oczach, nie mówił nic przez chwilę tylko drżał.

- Obiecuję - wypowiedział cicho.

17 Września 2020 r.

Dzisiaj jest dzień operacji. Szansa, że przeżyję jest niska, bardzo niska, prawdopodobnie będzie to mój ostatni wpis. Nawet nie jestem w stanie już pisać sama, więc poprosiłam panią pielęgniarkę o pomoc.

Szczerze nie spodziewałam się, że tak polubię prowadzić ten dziennik, myślałam, że go porzucę po drugim albo trzecim wpisie, a tu proszę.

Tak sobie myślę, że się pogodziłam z faktem, że umieram. Mam tylko nadzieję że po tym, jak to nastąpi, wtedy spełnię marzenie i zostanę mistrzynią świata, a czuję, że mój koniec już niebawem. Chciałabym, by moje słowa brzmiały jakoś fajnie, ale chyba po prostu chcę powiedzieć, żeby każdy cenił swoje życie i nie bał się dążyć do celu, bo nigdy nie wiadomo, co nam los zgotuje. Zdaje sobie sprawę że brzmi to banalnie, ale taka prawda.

Do rodziców. Kocham was i jest dla mnie zaszczytem urodzić się jako wasza córka. Dziękuję za wszystkie chwile te gorsze i lepsze. Na zawsze pozostaniecie w moim serduszku.

Do Marcela. Mój najukochańszy. Chcę, byś wiedział, że to, co zbudowaliśmy, jest czymś z czym najtrudniej mi się pogodzić, że zostanie zakończone, żal mi serce ściska, że cię opuszczam, ale wiedz, że gdziekolwiek będę, to zawsze będę cię kochać i zamierzam spoglądać na ciebie i wspierać cię jak tylko będę mogła, i czekać aż pewnego dnia spotkamy się ponownie, i znów będziesz próbował mnie namalować, a ja się będę wiercić, a przy tym będziemy się śmiać do rozpuku i patrzeć na siebie oczami pełnymi miłości.

Marcelku, chcę, byś parł do przodu, nie bał się walczyć o swoje i wyrażać siebie. Żyj, niczego nie żałując. Kocham cię. Twoja Felicja.

ZAKOŃCZENIE

Mężczyzna po tych słowach natknął się na pusta kartkę i przekartkował resztę, by zdać sobie sprawę, że są tak samo puste. Jego twarz była spokojna i mimo uniesionego lekko w górę kącika ust w uśmiech, po jego policzku spłynęła łza.

- *Tak jak przypuszczali, operacja się nie udała i parę dni później, dokładnie 20 września, umarłaś, później dostałem od twojej mamy ten dziennik, ale wpadłem w taką depresję, że nie byłem w stanie go przeczytać. Tęsknota, która mi towarzyszyła, prawie mnie zabiła, ale z czasem zrozumiałem, że tak już musiało być. Chciałem dotrzymać ci danego słowa i żyć przez resztę życia niczego nie żałując. Tak też zrobiłem.*

Odetchnął i zamknął dziennik. Przeczytał świadectwo ostatnich chwil życia jego pierwszej miłości sprzed 30 lat. Miłości, która pokazała mu, jak ważne jest życie, jak ważne jest, by je cenić, cieszyć się każdą drobnostką i nie bać się ryzykować i gonić marzenia. Marcel po jej śmierci zaczął iść przed siebie i nie bać się tego, co mówią inni. Tak jak jej obiecał.

Wystawiał swoje dzieła w różnych galeriach, co przyniosło mu jakąś sławę, a za pieniądze które zarobił dzięki sztuce, otworzył fundację charytatywną dla osób chorych na raka.

Felicja stała się jego inspiracją.